

ŻWIROWNIA

Był taki okres w moim życiu, że pracowałem na uczelni jako pracownik naukowo – dydaktyczny co miało dla mnie pewne niepowtarzalne zalety, z których najważniejszą dla mnie myśliwego, był wolny od zajęć wrzesień. Okres rykowiska.

Z reguły spędzaliśmy ten okres na Mazurach, a dokładnie w lasach nadleśnictwa Szczytno. Spędzaliśmy, bo był ze mną zawsze albo Janusz albo mój brat Włodek.

Z naszej kwatery nad jeziorem Sasek Wielki wszędzie mieliśmy blisko i dlatego był zawsze czas na wcześniejsze spenetrowanie i otropienie pól.

Mieliśmy i mamy do tej pory wielu przyjaciół przede wszystkim w dwóch kołach łowieckich, które gospodarują na terenach łowieckich wokół Szczytna: „Świt” w Pasymiu i „Jeleń” w Szczytnie. Ogromna koleżeńskość kolegów w tych kół, w tym oczywiście prezesów i łowczych powodowała, że nigdy nie zabrakło dla nas odstrzałów. Tym razem mimo wielkiej życzliwości sprawy trochę skomplikowały się. Przyjechaliśmy w połowie września, trochę wcześniej niż zwykle i okazało się, że w obu kołach na rykowisku będą jeszcze przez kilka dni dewizowcy. Co prawda mieliśmy w planie dwutygodniowy pobyt ale kilkudniowe oczekiwanie na możliwość polowania trochę nas zmartwiło. Mieliśmy oczywiście w planach także łowienie ryb i grzybobranie, ale miały być to przyjemności uzupełniające, niejako przerywniki polowań, a nie cel przyjazdu. Czekaliśmy przecież na tę wyłącznie męską przygodę przez cały rok. Mimo pełnego zrozumienia przez nas sytuacji musieliśmy mieć jednak nietęgą minę, gdy łowczy z „Jelenia” zakomunikował nam o zamknięciu terenu. Pewnie głęboko zapamiętał nasze zmartwione twarze, bo już na drugi dzień zadzwonił.

- Niech któryś przyjedzie do mnie po południu – coś wymyślimy z tymi polowaniami. Czekam około siedemnastej.

Gdy podzieliłem się tą wiadomością z bratem i Januszem dostałem od nich natychmiast bezwzględne polecenie.

Najpierw pojedziesz do sklepu monopolowego a dopiero potem do łowczego. Jasne!

Punktualnie o siedemnastej zameldowałem się u łowczego i na wstępie poinformowałem, że w związku z dzisiejszą promocją polskiego monopolu spirytusowego, mogłem nabyć trochę więcej trunków niż zwykle i dlatego pudełka są większe.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem, wyciągnął bloczki i wypisując zezwolenia poinformował mnie, że wczoraj wieczór rozmawiał z prezesem Koła i ustalił, że możemy polować na niewielkim fragmencie obwodu leżącym poza głównym kompleksem lasu w okolicy wsi Szczepankowo.

Gdy skończył wypisywanie odstrzałów wyjął na stolik mapę obwodu i dokładnie określił granice rewiru, w którym możemy polować. Był to niewielki kompleks lasu, do którego bezpośrednio przylegała duża, czynna żwirownia. Poinformował mnie także, że wyjeżdża teraz na trzy dni do dewizowców i w środę mamy się z nim skontaktować, bo powinien być już otwarty cały teren.

Podziękowałem i przyrzekłem, że w środę po południu zamelduję się.

Gdy siadłem do samochodu popatrzyłem na odstrzały. Mieliśmy wpisane po trzy dziki i po łani.

W drodze powrotnej jeszcze raz zatrzymałem się w sklepie monopolowym, bo zapomniałem z wrażenia, że jeszcze jesteśmy my. Przyjechałem do domku. Janusza i brata nie było. Nie marnowali czasu i popłynęli na ryby. Wszedłem na pomost i dałem znać, że już jestem. Widać było, że byli bardzo ciekawi mojego wyjazdu do łowczego, bo błyskawicznie wyciągali kotwicę i za moment byli przy brzegu.

Zrobiliśmy sobie kawę i w wygodnych fotelikach na ganku zdałem relację z mojego spotkania z łowczym. Janusz i brat zdecydowali, że w tej sytuacji nie będziemy jechać w ciemno. Oni dziś

połowią do wieczora a jutro rano po śniadaniu pojedziemy na rekonesans.

Pogoda była wspaniała i taką zapowiedzieli na kilka dni, księżyc był dopiero po połowce, a zatem nie należało się spieszyć.

Na początek wypiliśmy do kawy po dwa „szczeniaczki”, Włodek z Januszem wrócili na łódkę, a ja wyszedłem na godzinkę koło domku popatrzeć za grzybami.

Na drugi dzień po śniadaniu pojechaliśmy na rekonesans. Dotychczas nigdy nie polowaliśmy na tym terenie i nie mieliśmy zielonego pojęcia jak wygląda ten rewir, jak wyglądają pola, czy są ambony i gdzie, jak dojechać, jak podchodzić w zależności od wiatru. Ponad pięć godzin objazdu i obchodu pól dały nam jako takie pojęcie o terenie. Ustaliliśmy także kilka charakterystycznych punktów orientacyjnych, ale najważniejsze, że znaleźliśmy kilka ambon. Na polach pozostały jedynie ścierniska i dwa większe łany ziemniaków. Widzieliśmy także duży łan stojącej kukurydzy, ale około dwa kilometry od ściany lasu, za szosą – już poza obwodem, na który mieliśmy odstrzał. Tropienie nie wiele dało, bo było bardzo sucho i trudno było ustalić jak świeże są tropy. Generalnie byliśmy jednak zadowoleni, bo mogliśmy i mieliśmy gdzie polować. Niepokoiliła tylko żwirownia, bardzo duża, głęboka i czynna, cała ogrodzona siatką z hałasującymi koparkami i wagonikami przewożącymi żwir. Żwirownia na długości kilkuset metrów przylegała bezpośrednio do lasu. Pocieszaliśmy się, że wieczorem będzie tu już spokój, ale jak już wkrótce okazało się były to płonne nadzieje.

Do łowiska przyjechaliśmy jeszcze przed zachodem słońca z postanowieniem, że tę pierwszą noc polujemy całą aż do rana. Ewentualny strzał nic nie zmieniał w planach. Postanowiliśmy, że w tę pierwszą noc obsadzimy dość długą ścianę lasu od żwirowni, gdzie były cztery ambony.. Pierwszą, najbliższą żwirowni odpuściliśmy i usiedliśmy na trzech kolejnych. Ja na najbliższej żwirowni, odległej o około dwieście metrów.

Do późnego wieczora, a nawet nocy nie wiele się działo, z wyjątkiem kilku saren, które wyszły z lasu jeszcze za dnia i żerowały na miedzach pomiędzy ścierniskami. Zrobiła się noc, ciepła i księżycowa. Gdzieś daleko dwa a może trzy razy wydawało mi się, że słyszę ryczenie byków. Rykowisko było w pełni. Nie byłem jednak tego pewny, bo niestety, mimo że minęła już dwudziesta druga żwirownia pracowała nadal, wagoniki jeździły i niemiłosiernie tłukły się, a na dodatek włączone zostało oświetlenie żwirowni zainstalowane na wysokich słupach. Moje nadzieje na spotkanie z dzikami szybko gasło. Zacząłem nawet zastanawiać się czy jakkolwiek sens ma dalsze siedzenie i czy nie zrobię lepiej jak pójść do samochodu

i zdrzemną się. I właśnie wtedy usłyszałem za amboną trzask złamanej gałązki, a za moment charakterystyczne odgłosy przesuwającej się watachy dzików. Szły głośno, ale równoległe do ściany lasu w kierunku żwirowni. Za chwilę było już cicho.

Dokładnie lornetowałem ścianę lasu, ale nic nie mogłem dostrzec, bo musiałem patrzeć pod światła żwirowni. W końcu jednak dostrzegłem je. Szły w pola wzdłuż siatki ogrodzeniowej, a gdy ta skończyła się oddaliły się polami w kierunku szosy – poszły do kukurydzy. Nie zdążyłem się jeszcze otrząsnąć z tego wrażenia, gdy sytuacja powtórzyła się, ale teraz poszła wzdłuż siatki naprawdę duża watacha licząca kilkanaście sztuk.

Zacząłem szybko analizować sytuację. Albo przejdę na ta ambonę koło żwirowni i będę miał dziki na pięćdziesiąt metrów, albo pójdę na koniec ogrodzenia tzn. około trzysta metrów w pole i tam będę czekał na ewentualnie następne. To drugie rozwiązanie wydawało mi się lepsze, bo światła żwirowni miałbym za plecami, a strzał z ambony byłby pod światła. Niestety to lepsze rozwiązanie miało poważną wadę – kierunek wiatru. I gdy tak sobie pomyślałem, kątem oka zauważyłem jakiś ruch na polu, tym razem po mojej lewej stronie. Szybko podniosłem do oczu lornetkę. Przez ściernisko sunęły cztery. Szybko wziąłem sztucer, ale chyba za szybko, bo głośno stuknąłem lufą o ambonę. Dziki natychmiast zatrzymały się. Strzał oddałem błyskawicznie, bo czułem że jak ruszą ponownie to nie będę miał żadnych szans na oddanie strzału. Po strzale przelatki gwałtownie ruszyły w pole, ale po około trzydziestu metrach jeden z nich zrobił woltę i po kolejnych dwudziestu metrach został.

Byłem dumny ze strzału i z faktu, że jednak postanowiłem konsekwentnie siedzieć na ambonie. Po piętnastu minutach zszedłem z ambony, wypatroszyłem dziczka i wróciłem na ambonę. Popatrzyłem na zegarek. Dochodziła pierwsza. Zrelaksowany siedziałem dalej i nasłuchiwałem strzału od strony Janusza i Włodka. Panowała jednak cisza, z wyjątkiem odgłosów dochodzących z żwirowni. Przez kolejną godzinę nic nie działo się i miałem czas spokojnie przeanalizować to, co działo się od wieczora. Uznałem, że dobrze będzie jeśli na zejście przejdę na ambonę bliżej żwirowni. Jak szły do kukurydzy wzdłuż siatki ogrodzeniowej to pewnie będą tak wracać a jeśli wracać będą później to w świetle dziennym oświetlenie żwirowni nie będzie mi już tak przeszkadzać przy strzale. Jak postanowiłem tak zrobiłem. Zszedłem z ambony i przeszedłem na tę bliższą żwirowni. Do siatki ogrodzenia miałem pięćdziesiąt metrów a zatem odległość idealna na strzał. Gdy już usadowiłem się wygodnie poczułem jakiś nieprzyjemny smród. Najpierw pomyślałem, że dochodzi gdzieś ze żwirowni, ale był bardzo intensywny i nie ustępował. Zaświeciłem latarką, aby sprawdzić czy nie leży coś na podłodze ambony co mogłoby tak śmierdzieć. Okazało się, że jest gorzej niż myślałem. Siedziałem na okropnej kupie, którą ktoś nawalił na ławeczkę ambony. O mało nie porzygałem się. Co się jednak stało to się stało. Teraz już tylko myślałem, co mam dalej robić. Zszedłem z ambony, ściągnąłem spodnie i starałem się je wytrzeć o trawę, ale skuteczność tej operacji była znikoma. Całe szczęście, że było wyjątkowo ciepło. Uznałem, że to jednak zwiastun szczęścia

łowieckiego. Wszedłem na ambonę, zabrałem śmierdzącą ławeczkę, swoje okupane spodnie i zaniósłem pod siatkę żwirowni dwadzieścia metrów przed ścianą lasu. Jak dziki będą wracać z kukurydzy to na pewno wyczują smród, bo przecież ja go czułem i pewnie zatrzymają się i odbiją przed amboną, dając mi okazję do strzału. Wróciłem na pierwszą moją ambonę, wziąłem ławeczkę i wróciłem pod żwirownię. Zdjąłem kurtkę i opatuliłem sobie nogi. Świtało i jak o tej porze trochę zrobiło się chłodniej. Po raz kolejny lornetowałem pola, bez rezultatu. Teraz już szybko, robiło się jasno tak, że gołym okiem zauważyłbym zwierza. Zapaliłem papierosa i właśnie wtedy daleko, może kilometr przede mną zauważyłem przesuwający się czarny sznur. Szybko odłożyłem papierosa i wziąłem lornetkę. Byłem porażony. Przez pola ciągnął się pociąg trzydziestu, a może czterdziestu dzików. Szły jak to się mówi na pełnym gwizdku kierując się dokładnie na narożnik ogrodzenia. Asortyment był pełen: od warchlaków do dużych dzików. Trwało to wszystko bardzo szybko i dziki już ciągnęły wzdłuż siatki ogrodzeniowej prosto na moją ambonę i postawioną przede mną zaporę. Ostre hamowanie prowadzącej lochy i całego pociągu nastąpiło około dziesięciu metrów przed położonymi spodniami. Do strzału byłem już przygotowany. Wybrałem warchlaka i strzeliłem. Został w ogniu, a pozostałe dziki tyralierą wpadły do lasu. Teraz dopiero cały roztelepałem się z emocji i zimna. Zszedłem z ambony i podszedłem do leżącego warchlaka. Był ładny, wypasiony na kukurydzy, taki ze dwadzieścia kilogramów. Zabrałem się do patroszenia i wtedy usłyszałem samochód. Włodek z Januszem jechali droga wzdłuż ściany lasu w moją stronę. Musiałem wyglądać dość zabawnie w kaloszach, majtkach i kurtce z zakrwawionym nożem w ręku, bo ich reakcja była jednoznaczna. Idąc do mnie zanosili się śmiechem i wymieniali jakieś poglądy, po których wybuchali jeszcze większym rechotem. Gdy doszli do mnie opowiedziałem im wszystko w szczegółach. Pogratulowali mi strzałów, ale przede wszystkim samozaparcia. Załadowaliśmy do samochodu dziki, moje niezbyt czyste spodnie i ławeczkę na wzór, bo trzeba było zrobić nową. Co ciekawe, w punkcie skupu mój niekompletny skup nie zrobił większego wrażenia. Po przyjeździe na kwaterę przygotowaliśmy nowe siedzisko i padliśmy spać.

Obudziliśmy się dopiero po południu. Zjedliśmy śniadanie – obiad - kolację i przyjęliśmy wspólnie plan działania na kolejną noc. Ja zdecydowałem się pozostać z zadaniem nałowienia ryb, a Włodek z Januszem mieli obsadzić dwie ambony najbliższe żwirowni i zostać w łowisku do rana. Wziąłem wędki i wypłynąłem na jezioro, a Janusz z Włodkiem zrobili sobie kawę, bo mieli jeszcze czas na wyjazd.

Mój połów okazał się zupełnie znośny, po kilkanaście okonków i płoci plus taki półkilogramowy leszczyk. Z wody spłynąłem późno i oprawianie ryb przeciągnęło się do północy. Było wspaniale, prawie pełnia księżyca, lekki wiaterek i dochodzące gdzieś z głębi lasu odgłosy rykowiska. Aż nie chciało mi się iść spać, ale twarde postanowienie, że muszę jeszcze wypłynąć rano, zadecydowało. Jednak mimo silnego postanowienia, że wypłynę skoró świt obudziłem się dopiero o szóstej. Szybko wypilem herbatę, przełknąłem suchą bułkę, zabrałem z sobą tabliczkę czekolady i wypłynąłem na jezioro. Nie odpłynąłem daleko, aby szybko dopłynąć po ich powrocie. Gdy minęła ósma zacząłem trochę niepokoić się, że ich jeszcze nie ma, ale

uznałem, że przecież w łowisku różnie może być i czasem trzeba dłużej zostać, aby tropić przy dziennym świetle a poza tym zapewne zatrzymali się gdzieś po drodze aby zrobić zakupy i kupić świeże pieczywo. Około dziewiątej klakson od strony domku poinformował mnie, że już są. Szybko dopłynąłem do brzegu, tym razem tylko z czterema małymi okonkami. Z daleka już widziałem, że bagażnik samochodu jest otwarty a samochód dziwnie siedzi. Gdy doszedłem do auta zaniemówiłem. Wewnątrz był dzik kolos. Wszedłem do domku. Janusz jakby nigdy nic smażył jajecznicę, a Włodek złowione przeze mnie ryby. Na stole leżały świeże bułeczki, dwie butelki mleka, trzy parujące szklanki świeżo zaparzonej kawy i pół litra dobrej wódki. Kieliszki oczywiście także stały. Najpierw zapowiedzieli mi, że to oni wypiją sobie po pięćdziesiątce bo na to zasłużyli, a ja pojedę do skupu, a potem dopiero po śniadaniu zdali mi relację z polowania. Dzika strzelił Włodek zanim doszli jeszcze do ambon. Ponieważ wiatr zmienił kierunek samochód zostawili daleko od ściany lasu i polną drogą szli razem w kierunku lasu. I wtedy zauważyli pięć dzików buchtujących w kartoflach. Powoli ruszyli w ich kierunku ale w międzyczasie dziki z kartofli wyszły i zaczęły przesuwając się w ich stronę. Kiedy przechodziły przez drogę, którą szli, Włodek strzelił i dzik po kilkunastu metrach został. Według ich relacji wszystkie dziki były prawie równe. Potem widzieli jeszcze dwie watachy, które poszły w kierunku kukurydzy, ale nie dało się strzelać. Rano zaś nic nie wracało. Dziki zapewne zostały w kukurydzy.

Po śniadaniu wspólnymi siłami wyciągnęliśmy dzika z bagażnika, zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia i odbiliśmy oręż. W punkcie skupu waga pokazała sto czterdzieści siedem kilogramów.

Około południa padliśmy bez życia w łóżka. Pobudkę zrobił nam Janusz. Robiła się już szarówka. Błyskawicznie zapakowaliśmy się do samochodu.

Zrobiliśmy sobie tylko w termos herbatę i po kanapce. Gdy dojechaliśmy do łowiska robiło się już ciemno. Ustaliliśmy, że o północy spotkamy się przy samochodzie, aby coś zjeść i ustalić dalszy plan. Rozeszliśmy się na ambony. Włodek siadł przy żwirowni, Janusz dwieście metrów od niego na drugiej ambonie, a ja na trzeciej, następne trzysta metrów dalej za Januszem. Naszło trochę chmur i księżyc raz pokazywał się, a raz chował.

Widoczność była mimo tego bardzo dobra, bo pełnia była tuż, a ścierniska dawały doskonały kontrast. Gdyby nie odgłosy pracującej żwirowni byłaby absolutna cisza, ale do tego dysonansu zdążyłem się już przyzwyczaić. Zbliżała się północ i powoli przygotowywałem się do zejścia i właśnie wtedy padł strzał. Nie potrafiłem określić, który z nich strzelał, ale bez wątplenia to oni. Nie czekałem dłużej i poszedłem w ich stronę.

Już z daleka zauważyłem na polu dwa poruszające się świecące punkty.

- Widocznie szukają farby – pomyślałem.

Wyjąłem latarkę i dałem znać, że idę do nich.

Gdy doszedłem, szybko dowiedziałem się, że to Janusz strzelał. Cztery duże dziki wyszły na ściernisko i zaczęły buchtować. Według relacji Janusza po strzale wszystkie razem wróciły do lasu, do którego miały pięćdziesiąt metrów. Wskazał mniej więcej miejsce gdzie wbiegły zresztą to, z którego wyszły. Farby szukaliśmy bezskutecznie przez pół godziny i na polu i na ścianie lasu.

- Idziemy do samochodu wypić herbatę i zjeść – zarządziłem.

- Zostajemy przeczeciz do rana to poszukamy do światła dziennego – zakończyłem.

Janusz cały czas twierdził, że strzelał spokojnie i dzik powinien kulę przyjąć. Oceniał, że wszystkie miały w granicach 70-80 kilogramów.

Po posiłku wróciliśmy na swoje ambony, ale do rana nic już nie widzieliśmy. Poranne poszukiwania trwały już dobre czterdzieści minut, gdy w końcu usłyszałem:

- Jest farba, chodźcie do mnie – zawołał Włodek.

- Tutaj, tutaj – nakierowywał nas.

Rzeczywiście trochę farby było na liściach pokrzywy kilkanaście metrów w głębi lasu. Zaznaczyliśmy miejsce kawałkiem papieru toaletowego i ruszyliśmy do przodu. Tropienie okazało się stosunkowo proste, bo farby było coraz więcej. Na dzika weszliśmy może sześćdziesiąt, a może siedemdziesiąt metrów w głębi lasu. Oczywiście już nie żył. I teraz mogliśmy mu się dobrze przyjrzeć. Potęga. Zaczęliśmy licytować czy jest większy czy mniejszy od wczorajszego i oczywiście poszły zakłady. Januszowi wręczyłem złom, a odyńcowi należny ostatni kęs. Włodek z Januszem zajęli się mniej przyjemną częścią polowania, a ja wróciłem po samochód. Przyciągnięcie odyńca do drogi, przewiezienie do punktu skupu i odbicie oręża zajęło nam czas prawie do południa. Zakład wygrał Włodek, który był najbliżej wagi odyńca. Waga pokazała dokładnie ten sam wynik, co dzień wcześniej – sto czterdzieści siedem kilogramów.

Po powrocie do domku długo analizowaliśmy wydarzenia ostatnich trzech dni, a w zasadzie nocy. Najbardziej zastanawiające i trudne do wytłumaczenia było to, w tak niewielkim kawałku lasu, przy pracującej żwirowni, była taka koncentracja dzików. Nigdy też w swojej praktyce łowieckiej nie spotkaliśmy się z sytuacją, aby w jednej watasze trzymało się kilka tak potężnych odyńców. Uznaliśmy, że mogło to być skutkiem dwóch rzeczy: trwającego rykowiska i poszukiwania przez dziki spokojnych ostępów oraz stojącego łanu kukurydzy, choć znajdującego się ponad kilometr od lasu, ale przyciągającego jednak dziki jak magnes.

Zgodnie z umową, bo była to środa, o siedemnastej zameldowałem się u łowczego. Na pytanie:

- No i jak było?

Odpowiedziałem krótko:

- Dobrze, tylko szkoda, że nikt nie powiedział nam o tej żwirowni.

- A o tym rzeczywiście zapomniałem, ale chyba tam nie jeździliście, bo tam nikt nie jeździ – pytająco odpowiedział.

- No właśnie polowaliśmy tam i mamy niezłe efekty – odpowiedziałem.

Powoli zacząłem wyjmować kwity z punktu skupu.

- Cztery – powiedziałem.

Łowczy wziął druki w ręce i powoli zaczął je wertować.

- Co to jest – zapytał, pokazując na dwa kwity po 147 kg każdy.

- Co za jaj robicie?

- Skąd przywieźliście takie dziki. U nas takich nie ma.

Wyjął swój zeszyt z ewidencją strzelonej zwierzyny i wertując po kolei strony w części „dziki” palcem przejechał wszystkie pozycje z ostatnich trzech lat i zatrzymał się na pozycji 92 kg.

- To jest największy dzik jaki u nas padł w ostatnich trzech latach - potwierdził oczywisty fakt.

Ze szczegółami, ale i z wielką przyjemnością zrelacjonowałem nasze trzy noce polowań.

Pogratulował nam tego oczywistego sukcesu i poinformował, że od dziś możemy już polować na całym terenie, bo dewizowcy wyjechali.

